

Nie było cię tam, nie zrozumiesz

6 lipca 2025

Rozmowa ze Swietłaną Piktą – rosyjską korespondentką wojenną kanału Jarosław TV1.



– Na początek chciałbym, żebyś opowiedziała swoją drogę do zawodu rosyjskiego dziennikarza. Kiedyś byłaś obywatelką Ukrainy.

– W Rosji się urodziłam, ale potem, jako dziecko, znalazłam się z rodzicami na Donbasie, gdzie trafili ze względu na nakaz pracy w tym regionie, jeszcze za czasów ZSRR. Wychowywałam się w Pieskach, potem w Doniecku. Jako młoda dziewczyna uczyłam się, startowałam w reprezentacji Ukrainy w pływaniu, potem przeniosłam się do Kijowa i tam doczekałam niepodległości Ukrainy, która dla mnie, na poziomie codziennego życia, pozostała niemal niezauważona: wokół wszyscy mówili po rosyjsku jak kiedyś, nie zmieniła się mentalność, ani międzyludzkie relacje. I tak było do 2017 roku, już po Majdanie, kiedy nagle okazało się, że ze swoimi poglądami żyć na Ukrainie nie mogę. Nie dlatego, że nie chcę, tylko dlatego, że mnie tam nie chcą.

– Od czego to się zaczęło?

– Od banalnej rzeczy: w szkole nakazano dzieciom, by zorganizowały zbiórkę dla uczestników tzw. operacji antyterrorystycznej przeciwko mieszkańcom Donbasu. W odpowiedzi na to wysłałam fotografię pomnika zabitych dzieci Donbasu, który został wzniesiony w Doniecku. To było w sieci, na WhatsApp, na kanale klasy mojego syna, zamkniętym dla postronnych. Następnego dnia stałam się obiektem, jak to dzisiaj mówią, hejtu. Do mojej pracy, choć byłam na urlopie macierzyńskim z moim trzecim dzieckiem, zaczęli przychodzić oficerowie Służby Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), do pracy mojego męża. W gazetach ukazały się artykuły, że jestem wrogiem Ukrainy i że dla takich jak ja i mój mąż nie ma miejsca w ukraińskim społeczeństwie. Pisano też, że wspieramy separatystów na Donbasie, choć to była na tamten czas nieprawda. Po prostu nie chcieliśmy, żeby ta wojna na Donbasie trwała. Gdy wyczerpały się prawne formy oddziaływania na nas, sięgnięto po pozaprawne. Do naszego mieszkania i bloku, w którym mieszkaliśmy, zaczęli przychodzić bojówkarze znanej neonazistowskiej organizacji S-14, pisano nam na drzwiach obraźliwe napisy, próbowali włamać się do naszego mieszkania, gdy tam byliśmy, próbowali zastraszyć na ulicy mojego męża. W mojej dzielnicy rozklejali plakaty w moim zdjęciem i wezwaniem, by nas zlikwidować, i wrzucano do skrzynek pocztowych ulotki z takimi wezwaniem. Wreszcie wniesiono nas w listy Mirotworca ze wszystkimi adresami danymi osobistymi, adresem naszym, mojej mamy i nawet adresem naszego domku na działce. Żadne nasze interwencje nie przynosiły skutku, policja w ogóle nie reagowała. Może dlatego, że część bojówkarzy S-14 służyła jednocześnie w policji. Zrozumieliśmy, że trzeba wyjechać, tym bardziej że zaczęły się telefony nocne z groźbami pozbawienia nas życia. To było już w 2017 roku.

– Jak na to reagowałaś?

– Wydawało mi się, że to jakiś sen, obudzę się i to wszystko zniknie. W ogóle byłam w jakimś takim stanie półprzytomności.

To wszystko odbiło się na moim zdrowiu: urodziłam przedwcześnie – moje bliźniaki były wcześniakami. Wtedy zrozumieliśmy, że musimy wyjechać. Dokładnie pamiętam ten dzień. Dzwonili do nas w nocy z groźbami, kazali się wynosić, bo będzie źle. Mówiąc krótko, doprowadzili nas do takiego stanu, w którym zrozumieliśmy, że miejsca tu dla nas nie ma. I wyjechaliśmy do Rosji.

– A skąd pomysł, by pracować jako dziennikarka?

– Po pierwsze, na Ukrainie skończyłam Uniwersytet Teatru, Kina i Telewizji, ale tam nie miałam możliwości podjęcia pracy zgodnej ze specjalnością. Musiałabym się włączyć w nurt propagandy ukraińskiej, co było dla mnie nie do przyjęcia. W Rosji mogłam pracować. Zaczęłam w RIA Novosti, prowadziłam swój blog, który, ku mojemu zaskoczeniu, miał około 200 000 obserwujących. A potem zaproponowano mi pracę w „News Front”, potem w „Teleskopie”, a potem „BaltNews”, gdzie publikowałam wywiady z różnymi politykami. A potem zaczęła się wojna.

– Jaka była Twoja reakcja na rozpoczęcie tej wojny i wkroczenie Rosji na teren Ukrainy? Nie miałaś nigdy wątpliwości?

– Ty to widzisz tak, a ja inaczej. Miałam przez ten cały czas od 2014 roku poczucie winy, że ich zostawiliśmy, że nie bronimy. To dla mnie była ulga, że wreszcie Rosja ujęła się za swoimi rodakami, zabijanymi przez państwo ukraińskie. Takie odczucia podzielało wielu Rosjan w Rosji. I od razu wiedziałam, że chcę jeździć na front.

– Od razu jeździłaś na tereny przyfrontowe?

– No co ty, nikt by mnie nie puścił bez przygotowania. Potem, w 2019 roku jeździłam do Doniecka, gdy praktycznie przez miasto biegła linia frontu, a na pierwszą linię można było dojechać tramwajem. Tam po raz pierwszy zobaczyłam zabitych cywilów w wyniku ostrzałów i bombardowań, widziałam ofiary min o miłej nazwie „Listek”, które nie zabijają, tylko urywają

stopę, a dzieciom nogę. Widziałam matki, które straciły dzieci, ofiary waszych polskich moździerzy, które charakteryzują się cichym trybem pracy, że nikt nie słyszy przylotu pocisku, więc nie zdąży się schować. Pracowałam w szpitalu przyfrontowym. Było bardzo trudno patrzeć w oczy tym ludziom, którzy czuli się porzuceni i nie możesz pomóc im niczym jak tylko własnymi rękoma i artykułami spożywczymi, które się przynosiło do szpitala.

– Ludzie byli wściekli na Rosję?

– Takich bezpośrednio wypowiedzianych nie słyszałam. Ale jak się patrzyło im w oczy, to wszystko stawało się jasne: „porzuciliście nas”. I naprawdę, ogłoszenie Specjalnej Operacji Wojskowej to było święto. Dla nas i dla mieszkańców Donbasu. Nie rozumiesz tego, bo tu nie byłeś.

– Uważasz, że to było usprawiedliwione?

– To był ostatni moment przed przygotowywaną ofensywą. Mało tego, myślę, że byliśmy spóźnieni. Tym bardziej że duża część mieszkańców tych terenów nie chciała się ewakuować, byliby więc ofiarami.

– A teraz jesteś pełnoprawnym korespondentem wojennym?

– Na początku jeździłam raz na pół roku. Zanim zaczęła się wojna. A kiedy już się zaczęła, trudno mi tu wysiedzieć, bo cały czas miałam wrażenie, że tam dzieje się coś ważnego, a mnie przy tym nie ma. Znasz to uczucie, prawda?

– Znam. Łatwo się przystosowałaś?

– Nie. Uważam się za człowieka dość bojaźliwego, bałam się głośnych dźwięków, nie umiem do dziś strzelać, choć próbowano mnie nauczyć. A jednocześnie wiem, że nadaję się do tej pracy, bo mam bardzo wysoką motywację. Widziałam też, jak działa armia. Wierzę, że wygrana w tej wojnie uratuje nas.

– Jak praca wojennego korespondenta odbiła się na twojej

osobowości, psychice? Jak widzisz sama siebie? Są dwie Swietłany Pikty?

– Jest takie dość zresztą rozpowszechniona opinia, że wojna jest swego rodzaju katalizatorem: jeśli jesteś człowiekiem podłym, to staniesz się jeszcze bardziej podły, a jeśli jesteś dobry, to staniesz się jeszcze lepszy, bohaterski, czy ja wiem. Nieprawda. Moim zdaniem, wojna nie daje nic dobrego, czyni cię tylko gorszym. Dowiedziałam się o sobie wielu niezbyt przyjemnych rzeczy. One były we mnie, siedziały gdzieś schowane.

– Na przykład?

– Że jestem tchórzem, że tak wiele we mnie jest złości, nienawiści i cały czas muszę walczyć sama ze sobą, by pozostać człowiekiem. To łatwe w czasach pokoju. Bardzo trudne, kiedy cały czas ktoś chce cię zabić. Bardzo trudno na wojnie nie zbydlęcieć.

– Mówisz o sobie, czy o wszystkich?

– Za innych nie mogę mówić. To jest moje własne doświadczenie. Ale wiem jedno, że ludzie na wojnie zderzają się ze sobą samym, i to w tej nie najlepszej formie. Cieszę się, że jestem kobietą. Gdybym była mężczyzną, nie wiem, czy wszystko to bym wytrzymała bez uszczerbku dla swojej osobowości.

– Jeździsz na pierwszą linię. Wojna zostawia na ludziach swoją straszną pieczęć na zawsze?

– Oczywiście. Człowiek, który brał udział w działaniach bojowych, nie jest w stanie sam siebie okłamywać, bo już się poznał. Tę relację przenosi na cały świat, swoją rodzinę, przyjaciół... Jemu ciężko adaptować się do zwykłego życia, w którym tak wiele jest kłamstwa. Świat na wojnie zbudowany jest jasno i prosto. Tam nie da się kłamać.

– A to, że musisz zabijać innych, a ludzkie życie traci na

wartości, też pozostaje z tobą?

– Nieprawda, że ludzkie życie traci wartość. Ten, kto romantyzował wojnę, gdy już jest na froncie, to cały romantyzm spada i na samym końcu zostaje tylko wstręt do wojny, do zabijania, bo normalny człowiek nie może tego zaakceptować. Pamiętam, rozmawiałam z jednym z żołnierzy, operatorem dronów i pytałam, ilu ludzi zabił. „Osobiście?”, zapytał. „Tak, osobiście”. „Dwudziestu, mniej więcej”. A i to, trzeba pamiętać, że to jak w grze komputerowej, bez bezpośredniego kontaktu. I mimo tego to nałożyło na niego swoją pieczęć. „I jak to odczuwasz?” „Nic dobrego nie czuję. Człowiek nie został stworzony do zabijania, został zrodzony do tworzenia”, odpowiadał. Wydawałoby się, że powinien przekształcić się w bestię. Jednak nie, pozostał człowiekiem, odczuwającym wstręt to zabijania. To jest właśnie ten moment, kiedy opada cała ta romantyczna otoczka wojny i pozostajesz sam na sam ze straszną istotą wojny. To pozostaje w człowieku. Nie możesz już tak samo odczuwać radości jak kiedyś, cieszyć się życiem jak kiedyś. Zabójstwo to grzech. Niesiesz ten ciężar na sobie.

– Stare powiedzenie głosi, że w okopach nie ma ateistów. To prawda?

– Prawda. Pod Ugledarem był klasztor i cerkiew, stojąca między nami a Ukraińcami. Nasi żołnierze, nie tylko zresztą Rosjanie, bo Buriaci i Kałmucy też, przed pójściem w szturm przychodzili do cerkwi, by się modlić, ochrzcić. Muzułmanie oczywiście się nie chrzcili, ale ich wiara im też pomagała.

– To wojna domowa, czy wojna na śmierć i życie?

– Nasze słowiańskie geny zakładają, że bić się musimy na śmierć, ale jednak to nie jest taka zwykła wojna. To wojna hybrydowa, ale jednak na fundamencie wojny domowej. Dopóki Zachód będzie wspierał Ukrainę, ta wojna się nie skończy. I jedni, i drudzy będą polewać tę ziemię krwią do ostatniego żołnierza.

– A czy na pierwszej linii nie ma pretensji do władz, że „my tu wojujemy, a mobilizacji nie ogłaszacie”.

– Sytuacja już dawno dojrzała do mobilizacji. To nie dotyczy Donbasu, tam od dawna już przeprowadzono pełną mobilizację, brali wszystkich w wieku poborowym. I tak, uważam, że nasz tył powinien nas wspierać o wiele mocniej.

– To twoje zdanie, czy opinia żołnierzy w okopach?

– A ja nie rozróżniam siebie od opinii żołnierzy. Jestem jedną z nich, od dawna, choć nie biorę broni do ręki. Uczestniczę w wojnie informacyjnej. A co do żołnierzy... Tak, od dawna spotykam żołnierzy śmiertelnie zmęczonych, którzy walczą tylko po to, by nie zostawić tej wojny swoim dzieciom.

– A jaki jest stosunek do rozmów między Trumpem a Putinem, kiedy jest mowa o wstrzymaniu działań bojowych na linii starcia?

– Kiedy był ogłoszony rozejm Wielkanocny, nasi żołnierze byli wściekli, bo im nie wolno było strzelać, a tamta strona strzelała bez przeszkód. Po tym wszystkim wszyscy zrozumieli, że niepotrzebne nam są kolejne porozumienia mińskie. A poza tym, cały Donbas jest w sytuacji blokady wodnej i nie zniesiemy jej, dopóki nie zdobędziemy Słowiańska. A do niego jeszcze bardzo daleko. W żadne porozumienia żołnierze nie wierzą. Wierzą tylko w zwycięstwo. Zresztą kto będzie kontrolował rozejm. Polacy? Was tam i tak jest wielu, polską mowę słyszymy nader często i to nie są instruktorzy. Nie rozumiem waszego poparcia dla Ukrainy i jej władz wyznających banderowską ideologię.

– Jak więc powinien wyglądać pokój?

– Ukraina musi być państwem neutralnym, a i to pod warunkiem, że Zachód nie zapagnie wykorzystać jej jako tarana przeciwko Rosji. Wojna będzie trwała do momentu, kiedy nie zwycięży ta, albo przeciwna strona. Remis nie wchodzi w rachubę.

– Pokój jeszcze daleko?

– Bardzo daleko.

– Dziękuję za rozmowę.

Ze Swietłaną Piktą rozmawiał portal „Strajk”

Zdjęcie: Swietlana Pikta

Źródło: Strajk.eu